Nr 10. Kraków 9 marca 1867. Rok II.

Prenumerata miejscowa: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., — *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: *rocz.* 7 złr. 20 c. *półrocz.* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocz.* 90 c. w. a.
Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocz.* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

# KALINA

Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. *Mikołajska* 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni *J. Czecha*.
We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi *T. Kochańskiego*.
W Poznaniu w księgarni Mieczysława *Leitgebera* Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

BIBLIOTEKA dla kobiet jako DODATEK do „Kaliny“, albo *osobno* kosztuje rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr, ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. — miesięcznie 50 c. — Osobno prenumerować można przez księgarnią Fr. Grzybowskiego w Krakowie — a za pośrednictwem wszystkich księgarni.

Lwowska ajencyja „Kaliny“ u pp. Hercoka et Arnolda **została zwinięta** — natomiast uwiadamia się, że **ajencyja „Kaliny“**, ale wyłącznie dla prenumeratorów zamieszkałych we Lwowie, jest u Wgo ***T. Kochańskiego***, utrzymującego ajencyją „Czasu“.

Wszelką inną zamiejscową prenumeratę należy przesyłać wprost do Redakcyi.

## Kartki o wychowaniu.

przez

*Teresę Jüpner.*

(Ciąg dalszy.)

### III.

Powróćmy jeszcze do nauki przedwstępnéj. Powiedziałam, że należy obudzać zwolna w elewkach zajęcie się naturą. Ta cudowna księga zawiera samą tylko prawdę, jest ona zachwycającą i bez końca — są tam rzeczy wspaniałe i łagodne, straszliwe i spokojne, dla wszelkich gustów i temperamentów, od objawów ogromu, które opiewa poezyja, aż do cudowności tego, co jest nieskończenie małe, prawie niedojrzane; od praw, które światami rządzą, aż do drobiazgów zaciekawiających młode dowcipy.

Nie jest to trudną rzeczą zająć, rozbudzić ciekawość elewki, również jak i nakłonić ją tam, gdzie chcemy, — młode dusze są bowiem już same z siebie zapalne, i egzaltują się do wszystkiego, co piękne, dobre i sprawiedliwe. Lud jest dzieckiem w tém wszystkiém, co dotyczy jego umysłowéj uprawy — zauważano téż, że lud, (z wyjątkiem, jeżeli go obląka gwałtowna siła szału,) ma takie samo bezpośrednie uczucie sprawiedliwości, jak dzieci.

Zadziwić się nieraz trzeba widząc, jak młodziutkie główki oceniają i rozumieją idee najpoważniejsze, np. jeżeli się im mówi o ojczyźnie, sławie, ludzkości. Rozpalają się dusze, i buziaczki rumieńcem zapłoną. I skądże się to bierze? Czemuż im sen na oczach się kładzie, jeżeli ich męczą jakiemi nudnemi, suchemi opowiadaniami? dla czegóż inne rzeczy są im obojętne? dla czego oburzają się na rzeczy złe, chociaż ich nikt tego nie uczył? W społeczeństwie moralném i zdrowém muszą i w dzieciach dobre skłonności i instynkta przeważać. Tylko złe wychowanie, niekorzystne okoliczności, psują każdą duszę; wpływ otaczających osób musi nad niemi zaciążyć. Jeżeli te pierwsze starania wychowawcze idą opornie, jeżeli zła natura figle płata od początku i zapowiada późniejsze zboczenia — to nie wina dzieci, ale rodziców i społeczeństwa; i wtedy stokroć ważniejsze, a i trudniejsze zarazem jest zadanie wychowania i cięższa odpowiedzialność.

Trzeba się więc zgodzić na to, że przedmioty zacne, podniosłe, są najlepszym środkiem do uprawy umysłów, które dzisiaj prawie powszechnie tak wcześnie się rozbudzają i dojrzewają. Niechaj jednak w dorastającéj dziewczynce nie znika dziecko — i nie zabijajmy uśmiechniętéj naturalności pustém i czczem gruchotaniem, formami i paskami, na których można prowadzić pieska i lalkę, ale nie przyszłą kobietę.

Potrzeba w dziewczynce rozbudzić najprzód zamiłowanie nauki, a osiągniemy to przedstawiając jéj te nauki nie z oschłéj i surowéj, ale z najpowabniejszéj strony. Na tak uprawnym gruncie łatwo potém przyjmą się ziarna nauki, a młoda dziewczynka sama nabierze chęci do pracy wytrwałéj i szczeréj — bo nauka nie straszyć, ale nęcić ją do siebie będzie.

Ileż to jest u nas młodych dziewcząt, które wszystko rozpoczęły, ale po niedługim czasie rozwiodły się z nauką, niemając ani ochoty, ani siły woli, ani najmniejszego gustu do jakiéjkolwiek umysłowéj pracy! Stają się one potem stworzeniami mniéj niż zwykłemi, a życiu ich grozi przesyt i niesmak, a one same tylko innym zawadzać będą. Zkądże to pochodzi? Oto nie rozbudzono duszy naturalnemi iskrami — nierozbudzoną chciano nadziać wiadomościami, jak worek, w który nasypano najrozmaitsze ziarna; nie zapytano o skłonności, nie zastosowano się do talentu, a wzięto tylko za modłę zwyczaj, wymagania świata, formy — i wszystko na nic się nie zdało. Bo wychowanie nie jest rzeczą mechaniczną; dziewczynka to nie drewno, któreby na tokarskim warsztacie obrobić się dało. A jeżeliście się z nią jako z drewnem obchodzili, to téż w końcu i zrobiliście z niéj drewno.

Niekiedy znowu przesadną ostrożnością, zbyteczną względnością na delikatne zdrowie, i powolne pojęcie

rozmiękcza się i przytępia wyobraźnią i umysł wychowanki; a następstwem tego bywa, że i ciało popada w ubezwładnienie, w urojone choroby. Rozwój i czynność umysłu nie może szkodzić rozwojowi sił fizycznych, byle było zostawione szerokie pole i dla ćwiczeń, dla gimnastyki, dla słońca i powietrza, dla rozrywek, bez których żaden wiek obejść się nie może; a jeżeli ich się dobrowolnie pozbawia, dzieje się to zawsze z krzywdą jednéj strony natury ludzkiéj.

(Ciąg dal. nast.)

---

# CACKO.

(POWIEŚĆ)

przez

***Paulinę z L. Wilkonską.***

---

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem Zdzisław przebył ulicę Senatorską, skręcił ku teatrowi — lecz było jeszcze za wcześnie, i wszedł do *Lourse'a.* Kilku otoczyło go znajomych, wesoła zawiązała się gawęda — wypili pospołu herbatę, a potém udali się do *Rozmaitości* i w krzesłach zasiedli.

Teatr począł się zapełniać. Zdzisław raz po raz na loże spoglądał: przybywały różne piękności — ale gwiazda jego nie wschodziła. Ujrzał aksamitne, atłasowe okrycia, amarantowe, białe, czarne — ale nie dostrzegł gronostajowéj zarzutki. Widział zgrabne rączki w jasnych rękawiczkach i białych — ale nie widział tam najzgrabniejszéj, ze znajomą sobie kosztowną lornetką. Główki z pięknemi splotami — strojne w kwiaty, w perły — cudnie w półcieniu lóż wyglądały, ale tam nie było angielskiego lica, które przyświecało mu wszędzie.

— *Poverino*, jéj nie widać! — poszepnął mu młody przyjaciel

— O, ja... tak tylko patrzę — Zdzisław pokwaśniał.

— Nie zapieraj się!

— Bynajmniéj.

Orkiestra zagrała uwerturę z *Wilhelma Tella.*

Zdzisław zerknął na loże a potém na dłoń czoło pochylił, i niby słuchał... Ale nie *Rütli* mu był na myśli.

Przedstawiano *Szklankę wody.*

Zdzisław ani zważał na piękną królowę Annę — ni téż na doskonale odegraną rolę *Bolingbroke'a.* Z ukosa obejrzał się znowu na loże: gwiazdy jego nie było!

„Już nie przybędą!“ — poszepnął sobie.

Akt pierwszy się skończył. Zasłona spadła. Ruch powstał. Jedni biegli do bufetu, drudzy, by znajomych w lożach odwiedzić.

Zdzisław się podniósł, popatrzał w koło — coś tam poszepnął do przyjaciół — przesunął się pomiędzy krzesłami — i wyszedł.

— Ten już nie wróci! — zaśmiał się jeden z młodych.

— Popędzi zapewne na Nowy-Świat — wymówił drugi.

I odgadli. Zdzisław wybiegł z teatru, wskoczył do dorożki — i kazał się powieść do mieszkania państwa Runowskich.

O biedna babuncio! — Prąd magnetyczny był silniejszym: Zdzisław woli swojéj nie miał!

Państwo Runowscy mieli swój tygodniowy wieczór we wtorek, wystawny z wykwintną wieczerzą, z muzyką, z tańcami, a zawsze odwiedzany licznie. Ale prócz tego przyjmowali i dnia każdego, gdy pozostali w domu. Właśnie była środa. Pokoje na całém piętrze jasném biły światłem.

— Czy państwo przyjmują? — zapytał Zdzisław w przedpokoju lokaja wygalonowanego, z herbownemi blaszkami na kołnierzu.

— Przyjmują, jaśnie panie.

W salonie jasnym, pięknym, było dwóch gości dopiero: jakichś panów podżyłych, zajętych rozmową z gospodarzem domu — którego starannie ułożona peruczka, a suto namaszczona olejkiem, przy liczném świetle za każdém poruszeniem głowy na wszystkie połyskiwała strony. Oblicze jego pełne, rumiane, bez zarostu, stroił uśmiech: s t r o i ł, bo bliższy badacz byłby dostrzegł, że poza tym uśmiechem coś ponurego krył w oku. Uśmiech ten nazwał dowcipniś pewien: c y f r ą a d y c y j n ą rachunku, s p e k u l a c y i zawartéj. Po aksamitnéj kamizelce gruby i ciężki opuszczał się łańcuch. Na małym palcu bogaty nosił pierścień.

Pani domu obok na fotelu siedziała — wyraźnie a niecierpliwie na więcéj czekając gości, bo dla niéj najwyższą byłoby d e k o n f i t u r ą, gdyby salon miał próżnym pozostać. Dość młoda jeszcze i dość przystojna, pani Runowska wielce znudzoną miała minę. Złośliwi oznaczali tę minę mniéj grzecznym wyrazem.

Od fortepianu, na którym cztéroramienne świeczniki światłem i srebrem błyszczały — powstała właśnie śliczna postać dziewicza: istna rusałka — w białéj kaszmirowéj sukience, nader kształtnie do stanika przypadającéj, z różyczką w ciemnych włosach, ułożonych ręką mistrza sztuki fryzerskiéj. Uśmiech młody, prawdziwy krasił jéj rumiane, pełne, małe usteczka, a ząbki miała jak perełki. Oczy ciemne świeciły niby w brylantowéj osadzie. Lekka postać biegła... nie, raczéj p ł y n ę ł a po salonie, a jaśniała urokiem jak świętojański robaczek wśród ciemni wieczora. Zatrzymała się przy matce i coś jéj tam z pieszczotą szepnęła. Matka skinęła głową — panna pobiegła do drugiego pokoju, i niebawem weszły za nią dwa dziewczątka od lat dziesięciu do czternastu i poważna, nieco naprężona pani.

Dziewczątka były młodszemi siostrzyczkami Eweliny; poważną panią ich guwernantka, *mistress Clever.*

W téj chwili drzwi otworzono, i ukazał się Zdzisław.

Ewelina, biegnąca znowu ku matce, zatrzymała się w swoim polocie, a na jéj licu świeże zakwitły róże.

Panowie powstali. Pani domu z uśmiechem salono-

wym rękę mu podała — rada, że przecież zjawiają się goście.

Zdzisław z kapeluszem w ręku usiadł opodal gospodyni domu i lekką zawiązał rozmowę. Pani prosiła, by kapelusz odłożył. Powstał, spełnił żądanie — a potém do panny przystąpił, która, kręcąc się po salonie, j a k o ś na uboczu pozostała.

— Sądziłem, że państwo dziś w teatrze będziecie — przemówił do niéj.

— Byliśmy już trzy razy na *Szklance wody*, to i przesyciła się mama — odrzekła panna.

— Teatr dość jest pełny.

— Czy pan byłeś?

— Wyszedłem po pierwszym akcie.

Panna zapłonęła i na lśniącą spojrzała posadzkę — znać zrozumiała od razu, dla czego wyszedł już po pierwszym akcie.

— Czy widziałeś pan dużo znajomych? — zapytała, i posunęła się nieco, kawaler także, i poczęli przechadzać się zwolna.

Zdzisław kilka osób wymienił. Panna daléj pogadankę wiązała, która wreszcie zajmującą stała się rozmową. Było to poniekąd mile sam-na-sam, jakie panienka ułatwiała mu zwykle. A i takie salonowe sam-na-sam bywają niebezpieczne niekiedy — są tam i słowa

A nad słowa,
Wymowniejsza oczów mowa!

Mama tymczasem, niewidząc tego niby, wmięszała się do rozmowy panów. *Mistress* z uczennicami swojemi przeglądała ryciny nowego *Keepsake'a*.

Posłyszano turkot pojazdu w bramie.

— Zapewne pani marszałkowa — wymówiła Ewelina, bo obiecała się dziś mamie; wzięła z fortepianu nowe rękawiczki paljowe i poczęła je wciągać. Jedna z nich pękła. Panna niecierpliwa w kąt zmięte rękawiczki rzuciła i przynieść sobie kazała inne.

Zdzisławowi w téj chwili się przypomniało, że jego babka mając rękawiczkę rozprutą, kładła zaraz okulary i zeszywała ją sama.

Weszła pani marszałkowa w szalu prawdziwym, a za nią jeszcze kilka osób. Niebawem znowu kilka — i znowu parę. Salon się zapełnił. Przechadzka młodéj skończyła się pary — ale panna siadając, takie znowu wybrała miejsce, by panu Zdzisławowi łatwy do niéj był przystęp.

Po herbacie poproszono pannę Ewelinę o śpiew. Zdzisław podał jéj rękę i uśmiechniętą, szczebiocząca powiódł do fortepianu.

Panna zagrała nasamprzód mazur Szopena, dość biegle i z wdziękiem, a zaśpiewała czarująco — zwłaszcza też dla jednego ucha. Był to głosik, jakby na a k s a m i c i e, metaliczny, giętki — a miała i szkołę, po przez dwa lata uczyła się w Dreznie, a potem w Warszawie przez pół roku brała lekcyje od Dobrskiego. To też Zdzisław w siódmym był niebie. A byłby pewno i wyżéj uniósł się jeszcze, gdy z wyrazem i spojrzeniem uroków nieokreślonych, z duszą dziewczęcia polskiego, polską zaśpiewała piosenkę: *Kasiulenkę*; - byłby niechybnie uniósł się wyżéj a wyżéj, gdy cudownie z ust jéj wybiegło:

„Za ciebie dam serce, duszę,
Kasiuleńko ukochana!
Za ojczyznę, Kasiuleńko,
Za nią dam ciebie i siebie!"

Tylko, że podobno i dla zakochanych wyższe ponad siódme nie istnieje niebo.

Panna śpiewać przestała i a p l a u s głośny o złocone rozległ się ściany. Powstała szybko — zawadziła rękawkiem o brązową ozdobę fortepianu, oddarła z pośpiechem odprutą koronkę kosztowną i rękę panu senatorowi podała, który stojąc bliżéj, najsilniéj był w dłonie uderzył.

Zdzisław niby trochę spochmurzał. Czyliż tego szczęścia baryłkowatemu pozazdrościł dygnitarzowi? — Wtém panna zwróciła się ku niemu — coś tam zagadała — i znowu za jéj był krzesłem.

Około godziny 10téj przybył pan marszałek z dwoma młodymi literatami: powracali właśnie z posiedzenia *Biblioteki warszawskiéj*. Kółko się zwiększyło i ożywiło. Rozmowa chwilowo przeszła na niwę krajowego piśmiennictwa.

Potém Ewelina z koszyka pozłacanego obdzieliła kartkami wszystkich. Podano ołówki, i pisano z a p y t a n i a i o d p o w i e d z i, bo rozmaitość w salonie państwa Runowskich była na porządku dziennym: nikt nie miał się nudzić.

Zdzisław dostrzegł, jak panienka przy zapytaniu: *„Czem jest wspomnienie?"* — położyła odpowiedź: *„Wonią przeszłości;"* a przy zapytaniu: *„Gdzie twoja gwiazda?"* — *„Na mojém niebie"* — i westchnął mimowolnie.

Przeczytano: *„Czem jest miłość?"* — *„Niebem i piekłem!"* — i wszyscy na pana Zdzisława spojrzeli, który nagle pokraśniał.

*„Czem jest przeczucie?"* — poznano pismo panny Eweliny i domyślano się, że to nieco ironicznego wejrzenia młody literat odpowiedź dopisał: *„Dla głodnego woń pieczeni z kuchni."*

Śmiech powstał ogólny. Ewelina śmiała się także, ale przymusowo trochę.

Po północy Zdzisław salon państwa Runowskich opuścił. Szedł zwolna, smutny, przez puste ulice — i marzył. Przed oczyma jego duszy dwie ukochane majaczyły postacie: poczciwa, najdroższa babka i śliczna, urocza, namiętnie pokochana istota — c a c k i e m przez tamtą nazwana. Myśl jego się gmatwała — uprzytomniała wszystko: uwydatniły się drobnostki różne, zkądinąd nic nieznaczące niby, a przybierały rozmiary większe i coraz większe.

W nocy śnił o rękawiczkach paljowych, w kąt rzuconych, z których wyglądał *Mefisto* z szatańskiéj ironii wyrazem — podobny do młodego literata, który tak smakowicie był zdefionował przeczucie. Śnił o podartéj koronce, w którą jakaś stroiła się *Satanella*. Były to widma naprawdę męczące.

W mglistym dniu listopadowym wsiadał do powozu pocztowego młody mężczyzna, zawinięty w futro, mając aksamitną czapkę głęboko na czoło wciśniętą. Był niby blady, smutny, wyjrzał przez okno karety ku *Nowemu-Światowi*, i jakoś połysnęła mu źrenica. Powóz potoczył się *Krakowskiém-Przedmieściem*.

Pod wieczór tegoż dnia siedziała pani prezesowa w krześle poręczowém przy kominkowym ogniu, ze złożonemi dłoniami, z opuszczonym wzrokiem — i ciche szeptała pacierze.

Na dworze śnieg wichrzył i zamglone ona zalegał.

Z sypialnego pokoju panna służąca zajrzała.

— A co? — zwróciła się ku niéj sędziwa pani.

— Pani pułkownikowa przyszła.

— Proszę; Witam! — podniosła się pani domu.

— Przyszłam zaśnieżona cała, że aż zdziwiła, czyli raczéj przelękła się panna — wymówiła pułkownikowa nadchodząc — bo tak dziś trudno o dorożkę przy téj śnieżnéj słocie, a ciągnęło mnie gwałtem do kochanéj pani prezesowéj.

— Bóg ci zapłać, moja dobra Maryniu! — uścisnęła ją pani domu, — siadajże kochanie.

Pułkownikowa najbliższy zasiadła fotel.

— A co? Więc odjechał! — zagadała półgłosem.

— Pojechał!... I smutno mi bardzo, boć i on był smutny, a jak jeszcze!... Postanowił przez całą zimę ani zajrzeć do Warszawy, to więc i nie prędko go zobaczę.

— Więc usuwa się zupełnie?'

— Ha!... Czyni jak'em pragnęła, ale z żałością wielką, i to właśnie cięży mi na sercu. Myślę wszelako, że przekonanie moje całkiem podzielał, bo inaczéj nie byłby się wyrzekł téj swojéj miłości. Stawał się coraz więcéj zamyślonym, smutniejszym, zgryźliwszym nieraz... mało mówił, i to o powszednich tylko przedmiotach. Aż wreszcie przychodzi do mnie i powiada: że na wieś powraca, i że tam całą zimę przesiedzi; że woli mojéj, zgodnie z własném przekonaniem, zadość uczyni. Objął kolana moje... — sędziwéj matronie głosu przybrakło, zacisnęła oczy, — przytulił się do mnie, jak dziecko... — mówiła znowu daléj, stłumiwszy żałość i łkanie — miał pełne łez oczy... ale mówił, że to nic.... że mu tylko katar dokucza trochę.... Potém zaczął o czémś inném mówić.... Nareszcie głośno przeczytał gazetę. Namówił mnie na teatr, a właśnie grał wczoraj Żółkowski. Pojechaliśmy.... A potém, boć to był wtorek, pojechał tam jeszcze na wieczór do nich, by się pożegnać i rzecz jakoś przyzwoicie zakończyć. Bawił nie bardzo długo.... tak mi się przynajmniéj zdawało. A czuwałam, bom powiek skleić nie mogła. Dziś rano... dziś rano był jeszcze smutniejszym — połykała łzy — był bardzo smutny, czytałam to w jego oczach, ale opowiadał, rozprawiał, jak gdyby nic mu nie było.... Jam także udawała spokojną. I odjechał smutny mój synek serdeczny, mój wnusio jedyny, najdroższy.... A tom ja sama tego smutku przyczyną! — zacisnęła chustką oczy. — Nawet i na Boże-Narodzenie nie przyjedzie.

— Mógłby przecie przyjechać.

— Znać biedaczek kusić się nie chce i serca rozkrwawiać na nowo.

Idąc na spoczynek, poczciwa babka długo klęczała, modląc się o szczęcie wnuka. Panna służąca po dwa razy przez drzwi niedomknięte zaglądała, i cofnęła się zawsze, by sędziwéj nie przeszkadzać pani.

W tym czasie w ciemny wieczór pocztowa kareta mknęła zwolna po zaśnieżonéj zwirowce. Zdzisław zasiadł głęboko i dumał żałośnie: porzucił sny złote, urocze — oderwał się sercem od ukochanéj istoty — a serce krwawiło się boleśnie, jak na śmierć!... Długo staczał z sobą walkę, aż wreszcie poszedł za radą i wolą babki... i to nakoniec z przekonania własnego, niestety! Dopatrzył się niejednego... ale i jedno słówko dotąd z ust jego nie wybiegło: Ewelina zaprawdę cackiem była tylko! powiedział to sobie z przeświadczeniem bolesném. Babka słuszność miała we wszystkiém!... Babkę wtrąciłby do grobu — babkę ukochaną, najlepszą — która dlań zarazem stała się ojcem i matką! — Ewelina może go i pokochała — lecz i zapomni znowu niebawem!... Jest aż nadto rozpieszczoną szczęściem i hołdami świata! Jest zbyt powierzchowną tylko — boleści nie uczuje nigdy — łza nie jest dla niéj! Raczéj uśmiech tylko i wesele. To jest cacko pozłacane!... Ach, alež tak urocze, czarujące, że i oszaleć przyjdzie z żałości! — Ona niepotrafiłaby dzielić z nim z życia w dworcu Żulina — przy domowém ognisku zwyczajnego obywatela wiejskiego, hreczkosieja!... To cudne pieścidełko salonów pierzchnęłoby zdala z tego koła zaklętego w sfery sobie właściwsze, albo téż... zmarniałaby, jak kwiatek w obcą przesadzony ziemię!... Jak *Sylfida*, któréj skrzydełka przycięto!... To więc i lepiéj, że się oderwał, gdyby i serce zakrwawić się miało!... Ona z kim innym szczęśliwszą będzie!... A jeżeli... jeżeli choć jednę łezkę po nim uroni, to łezka ta w życiu jego całém najpiękniejszą, najcenniejszą będzie dlań perłą!... Lecz go zapomni... zapomni zaraz... i będzie szczęśliwą'

Tak marzył młody — a śnieg miękki jak sypał tak sypał, i płatami białemi karecianc okna zasklepił.

Ciemno było we dworcu żulińskim, gdy przed nim

trąbka ekstrapoczty zadźwięki. Ale i zaraz ruszyła się służba ochoczo.

I pieski większe i mniejsze naszczekawszy się wprzódy, obce wietrząc konie, skowyczały teraz z radości.

Niebawem błysnął ogień na jednym i na drugim kominku — i w pokoju bawialnym i w komnatce sypialnéj. Wniesiono światło i samowar.

Zdzisław przebiegał pokoje — zapytywał o to i o owo — ale widocznie był roztargniony — i myślami gdzieindziéj gonił.

Potém, gdy już znowu uciszyło się wszystko, gdy sam jeden w swojéj pozostał sypialni — wyjął z pugilaresu wyborną fotografią Bajera: przedstawiała śliczne dziewczę, pannnę Ewelinę Runowską — c a c k o! Popatrzył się długo... a może pobłogosławił temu wynalazkowi wieku dziewiętnastego.

Zdzisław patrzał się długo na fotografią panny Eweliny — że aż połysnęło na źrenicy jego... jak to zwykle bywa, gdy wzrokiem natężonym w jedno patrzymy miejsce. Potém obrazek zawinął w różową bibułkę angielską, włożył go w płaskie, białym aksamitem wyklejone puzderko, i zamknął je na kluczyk kręcony. (W tém puzderku mieściły się dawniéj jakieś cenne kosztowności rodzinne, mające wszelako bez porównania mniejszą wartość w oczach zakochanego, od téj pracy Bajera.) Otworzył następnie szafę z książkami i pomiędzy pozłoconych wsunął je klasyków.

„Nie ożenię się nigdy!“ — wyrzekł przytém stanowczo — „Nigdy!... A ten obrazek w samotni mojéj będzie mi pociechą jedyną.... dopóki.... dopóki o n a wolną pozostanie.... gdy serce, czyli rękę, odda innemu, rzucę go w ogień.... i skończy się wszystko!... Nie ożenię się nigdy, bo drugiéj już pokochać nie zdołam“.

Poza oknami stróż nocny jedenastą godzinę wyświstał— i niebawem ostatnie światło w dworcu żulińskim przygasło.

W gospodarstwie znalazł Zdzisław jak najlepszy porządek — bo raz na zawsze dobra rządność z góry zaprowadzoną została. Rzucił się w życie czynne — i w tém szukał lekarstwa na tęsknotę serca. Gospodarka stała się wszystkiém dla niego — i codziennie polował. Chronił się o ile mógł od odwiedzin sąsiadów, bo milszą mu była samotność — a każdego wieczora sięgał po świeże książki do szafy, i przy téj sposobności zawsze luby obrazek w puzderku powitał.

Pochorował też trochę — a tęsknił dużo. Choroba przeminęła — polował znowu — a babce sarny i zające posełał. Czytał dużo i suche rachunki gospodarcze przeglądał. Niekiedy zarzępolił sobie na skrzypkach — rzewno jakoś i tęskno — ale znowu odkładał je zaraz, bo w téjże chwili zadźwięki mu w uroku wspomnień K a s i u l e ń k a — i tyle innych piosenek, że aż westchnął ciężko.

(Ciąg d. nast.)

# Ze złotego wieku.

(MOZAJKA.)

*8. Posłanie.*

Leć piosenko, leć serdeczna
Tam do jéj okienka,
Gdzie dumkami zapłoniona
Ustawia krosienka.

Opowiedz jéj ową skazkę,
Co u ludzi słynie:
„O tym chłopcu, co okrutnie
„Kochał się w dziewczynie.

„Choć na niego nie spojrzała
„On w nią patrzał stale,
„I chociaż się z niego śmiała,
„On nie wierzył wcale.

„Patrzał póki stało oczu,
„Coraz to goręcéj,
„Aż gdy umarł, to już na nią
„Nie patrzył się więcéj“;

Gdy opowiesz, jak jaskółka
Z dobrą wróć nowiną,
A polecę się przeprosić
Z niedobrą dziewczyną.

*9. Przyjazd.*

Dzwonią sanki, zawierucha,
Pobielały bory,
Mróz i wicher, że i zwierza
Nie wygoni z nory.
Gonią sanki, ani światu,
Ani drogi żadnéj; —
Naprzód żywo! mam ja w sercu
Kłębek Arjadny.

---

Ciemno i zimno, światło od mrozu
Na niebie skrzepło —
Daléj! mnie w głowie słońce się pali
I w piersiach ciepło.
Gwiazd mi nie trzeba, ani księżyca,
Światło z okienka
Już do mnie mruga, ona tam czeka,
Moja panienka.

---

Zgasło w okienku, sen oczka klei —
O nie, nie zbudzę;
Noc tę przehulam, wśród śnieżnéj burzy
Głowę ochłodzę.

---

Czy jéj też śni się?.. cóż mi się baje?...
Lecz gdyby, gdyby?...

Rano, jak tylko słonko odtaje,
Zapukam w szyby.

### *10. Krizis.*

Masz tobie licho — na lód mnie ścięło;
Bodajeś zimo przepadla —
Ja za jéj uśmiech w piekło bym skoczył,
Teraz drży o mnie i zbladła.

---

Co sen, co jawa już tego nie wiem,
Usta spragnione, spalone;
I mózg się zajął dzikiém zarzewiem,
Plączą się myśli szalone...

---

Widać w gorączce coś wygadałem,
Panienka gniewa się, łaje;
Wziąłem za rączkę, pocałowałem,
Gniewa się — drugą podaje.

---

Gdy zasnę z wielką w głowie gorączką,
To w snach uwielbiam mego anioła;
Otworzę oczy — ona mi rączką
Dotyka czoła.

---

Zdało mi się, że nademną
Namiot rozłożony;
A to twój jedwabny, jasny
Warkocz rozpuszczony.
Zdało mi się, że nademną
Gwiazdki dwie na niebie;
A to błyszczą zapłakane
Oczęta u ciebie.
Zdało mi się, że anielskie
Gdzieś mi harfy grają;
A to twoje po klawiszach
Rączęta pływają.
Zdało mi się, że ty znikniesz
Niby mara senna;
A tyś przy mnie zorzo moja
Zorzo ty promienna.

### *11. Pożegnanie.*

Dziewczyno moja! byłem ja dziki,
Jak orzeł — wolny —
A dziś ja tęsknię jako słowiki,
Jako kwiat polny.

Wydziwiasz ze mną, ani wiesz może, —
Dusza mi chora,
Uczucia rwą mnie, chwieją, jak trzciną
Fale jeziora.

I sam już niewiem, czemu mi trwożno,
I drżę przy tobie —
A gdzie cię niema, to mi żal, smutno,
Jakby przy grobie.

Długoż tak długo téj niepogody
Dla mojéj duszy?
Oczy pałają, serce mi krzyczy,
Głowa się suszy.

W grze téj serdecznéj, gdybyż nareszcie
Wygrać i zyskać,
Raz już dziewczyno cię ucałować,
Już raz uściskać.

Ja bym tam sobie i znalazł radę?
Powiedzno słówko?...
Ja tutaj znowu, znowu przyjadę...
No, kiwnij główką...

Więc się przed dobrą mameczką skłonię,
Stojąc przed chatą —
Ta mi już dajcie tę waszą donię, —
No, zgoda na to?...

1858 r. *i. d.*

---

# Kobiety dramatów Słowackiego.

## II.

### (LILLA-WENEDA.)

***Roza Weneda.—Lilla Weneda.—Gwinona.***

(Ciąg dalszy.)

Obok téj surowéj i poważnéj wróżki jakże pięknie odbija biała, posągowa postać Lilli-Wenedy, przypominającéj w niektórych bolesnych wykrzykach Sofoklesową Antygonę. Źlebym się wyraził, gdybym powiedział, że Lilla-Weneda jest przeciwieństwem Rozy-Wenedy, ten duch, który pracuje w piersiach Rozy-Wenedy, nie przeczy sercu Lilli, ale je owszem spotrzebowuje — stosunek tu więc jest taki, jaki jest między rozumem a sercem, między niezbłaganą koniecznością a poświęceniem, między sprawą publiczną a cnotami domowemi. Pierwsze żyją i postępują kosztem drugich. Serce Lilli jest w ręku siostry jedną z broni, któréj używa na ocalenie swego narodu. Poeta zaraz w prologu odznaczył wybitne te dwie postacie. Kiedy harfiarze wchodzą do groty z pola walki, pierwsza ich zapytuje: „co się stało z Wenedów ludem?“ — a druga pyta o ojca i braci, czy uniknęli śmierci? Dowiedziawszy się, że są w niewoli, postanawia wybawić ich, choćby kosztem własnego życia. Z początku z trwogą wstępuje na tę ciernistą drogę poświęcenia, cichą skargą spowiada się przed nami, że jéj żal życia, gdy mówi:

Więc ja mam umrzeć? — o Boże! —

Ale wnet prostuje się przed nami ta biała lilia, nachylona chwilowo ku ziemi, i idzie „zbawiać tych, co są w kajdanach“. Odtąd widzimy ją miłującą i przebaczającą. Co staluje jéj siły, co wzmacnia ją w tych

ciągłych zapasach z nieubłaganemi losami, ze złością Lecha, z mściwą Gwinoną? Nowa religija, którą konającemu narodowi przyniósł ś. Gwalbert. Lilla Weneda to neofitka. Jéj siostra służy jeszcze starym bogom — ona już Boga-Rodzicy czyni zakonne śluby z czystości swojéj, byle zbawić ojca:

O niebios Królowo!
Oddaj mi ojca, a ja ci dam siebie,
Jako białego gołąbka bez plamki, —
I nic nie będę więcéj pożądała,
I nic mnie nigdy na świecie nie splami.

Żegnając swego narzeczonego i brata Lelum, wzbrania mu się dać pocałunek na pożegnanie i mówi:

O nie! jak prosty gołąb ja się rzucę
Na wasze łono — kochajcie mnie bracia!
Bo mi na świecie źle, ciemno i smutno!

Ten ostatni wiersz tchnie już tęsknotą chrześcianki, któréj ziemia nie zadowalnia, która jak biały gołąb rwie się w niebo.

Tak oczyszczona wstępuje ofiarnica w obóz Lechitów zbawić ojca i braci — miłość jéj wyzywa do walki mściwość Gwinony.

Wymyśl trzy razy śmierć najokropniejszą —
Trzy razy wszystko wymyślisz napróżno —

odzywa się do okrutnéj królowéj, co się pastwi nad jéj ojcem. Gwinona już poczęści nasyciła swoją zemstą wyłupieniem oczów Derwidowi, ale wyzwana do walki słowami, które się Lilli wyrwały w zapale miłości ku ojcu — chce doświadczyć téj miłości i z piekielną radością wystawia ją na próbę, zwłaszcza, że pogardliwe słowa Derwida rozdrażniają ją co chwila i zachęcają do nowych okrucieństw. Każe go więc przywiązać za włosy do drzewa — to wreszcie do wieży pełnéj wężów jadowitych, to wsadzić do ciemnicy na ogłodzenie. Za każdym razem „przebiegłe serce" Lilli Wenedy wynajduje sposób ocalenia ojca.

Przypatrzmy się po szczególe tym trzem momentom, tym herkulesowym pracom chrześcijańskiéj bohaterki, które są główną treścią całego dramatu. Przypominam tutaj to, co powiedziałem na początku, że w słowach aktorów działających w mytycznéj przeszłości znajdziemy niby w uwerturze pojedyncze akorda, które w późniejszych dziejach w bogate rozwinęły się melodyje. Szczególniéj w chórach harfiarzy usłyszemy wieszcze głosy dzisiejszych naszych bolów. Chóry te zakończają każdy akt zupełnie tak, jak to widzimy w greckich dramatach. Bo o ile Balladyna formą przypomina nam Shakespeare'a, o tyle Lilla Weneda przenosi nas w czasy Eurypidesa, z czém się sam autor w przedmowie do Krasińskiego wcale nie tai. Długie i pełne obrazowości dyjalogi, owa wielkość figur nad zwyczajną miarę ludzką, posągowy spokój mimo boleści, pojedynczość a przytém wzniosłość akcyi, wreszcie chóry — wszystko to przywodzi nam na myśl greckie dramata, przynajmniéj co do formy i traktowania przedmiotu, jak znowu podobieństwem treści i sytuacyj wewnętrznych uobecnia nam ciągle nasze czasy.

Weźmy naprzykład pierwszą mękę Derwida. Gwinona każe go siwemi włosami zaczepić o drzewo, tak, aby wisząc jedną nogą dotykał nieco ziemi. Lilla, by ocalić ojca, wymyśla okropną rzecz dla nasycenia serca wrogów łaknących zemsty. Oto proponuje królowéj, aby dano ostry topór jednemu z synów Derwida, aby on o sto kroków rzucił na ojca ten topór i odciął starcowi włos siwy. Jeżeli zrobi to — więźniowie mają być wolni. Królowa przystaje i każe przyprowadzić jeńców. I widzimy wchodzących na scenę dwóch jeńców, dwóch braci, synów nieszczęśliwego króla Lelum i Polelum, skutych łańcuchami tak, że stanowią jednego rycerza z dwojgiem serc, z mieczem jedynym — jedna połowa jest tarczą, a druga żelazem. Poeta sam nazywa tę postać złożoną z Kastora, Polluxa i Tella. Tellem jest w chwili, gdy ma rzucić toporem przeciw głowie własnego ojca. Okropna to chwila — Polelum biorąc topór w rękę, błędnemi oczami patrzy wkoło siebie, wreszcie się zmierza i chce ugodzić — w Lecha.

Psie, ty godzisz we mnie — woła król Lechitów —
Zgnijesz w kajdanach jeźli nie posłuchasz.

Polelum niema odwagi, ręka bezwładnie na dół mu opada, bo on wie, że trafiłby niechybnie, gdyby nie serce. Wreszcie zgadza się.

Daj topór — O Boże! —
Odwróćcie oczy, abym ja nie widział
Na waszych bladych twarzach przerażenia,
Nie patrzcie wy na mnie —
Bo mi się oczy łzami ćmią. —

Wśród tego wachania i strasznego namysłu widzowie z niepokojem patrzą na cień wiszącego Derwida, rysujący się na bocznéj kulisie. „Ojciec na drzewie powieszony skona" — woła Lilla-Weneda, dodając bratu odwagi. Ta obawa skłania ostatecznie Polela do stanowczego ciosu: z wykrzykiem: „o! do czegoż ty przyprowadzasz Boże człeka, co stracił ojczyznę!" bierze za topór i każe się prowadzić do mety.

W téj chwili, kiedy uwaga widzów natężona, a serce drży z oczekiwania i trwogi — akcyja się urywa, a odzywa się poważny, smutny chór dwunastu harfiarzy. Kto czytał choć parę greckich dramatów, przypomni sobie, że i tam w równie rozstrzygających chwilach napiętéj sytuacyi, odzywają się chóry. To nagłe przerwanie nie trzeba brać jako fortel autorski, dla wzbudzenia ciekawości i oczekiwania, jak to widzimy w powieściach i dramatach francuzkich — autorowie greccy nie posługiwali się tak błahemi sztuczkami i jeżeli w decydujących momentach zatrzymywali uwagę czytelników, i wprowadzali chóry, to dla tego, aby widz ochłonąwszy na chwilę z wrażenia, mógł spokojniéj patrzeć na dalszy przebieg akcyi, wyrobić sobie sąd o

działających osobach. Chóry stawały mu się pomocnemi w tym względzie — one w fale rozigranych namiętności ludzkich rzucały przestrogi i prawdy głębokie, one upominały aktorów i dawały im skazówkę działania.

Zupełnie to samo znaczenie ma chór w Lilli-Wenedzie — słuchajmy jak się odzywa:

CHÓR.

Niestety! niestety!
Gdzie sprawiedliwość boska, gdzie pioruny?
Syn na własnego ojca topór rzuca —
Niebo się całe ćmi krwawemi łuny,
Błyskawicowych chmur rzygnęły płuca
Piorunów deszcz okropny — Świat się wzdryga!
Cóż będzie, jeźli topór w czasie jęknie?
Topór, co w drżącéj ręce syna miga;
O synu! serce twe z boleści pęknie.
O córko! ojca twego krew cię splami —
O biada wam! o biada niewolnicy! —

O tym chórze możnaby powiedzieć to, co autor Irydiona powiedział o Balladynie, że go Sofokles stworzył w głowie Słowackiego — tak jest na wskróś grecki.

Taki jest przebieg pierwszéj części dramatu. Zestawmy go teraz z naszemi wypadkami. Komuż syn rzucający topór na własnego ojca nie przypomni roku 1846go i chorału Kornela? To nie Tella strzał; w jęku upadającego na ziemię Derwida słyszymy inny jęk, boleśniejszy, bo bliższy nas. Było to prorocze widzenie poety. (Balladyna bowiem wyszła przed ową smutną katastrofą,) podobne do tego, jakie miał pisząc o kolumnie Zygmunta w Warszawie, o starém mieście, z oknami zielonemi, jak oczy Kilińskiego, a zkąd ma wyjść zastęp na wroga. W r. 1861 te ciasne uliczki wyrzuciły z siebie pierwszych męczenników, rozpoczęły sześcioletnią walkę z wrogiem na słowa i oręż. Czyż koniec téj walki zakryty był przed oczami poety? — Nie! on jak wróżka Wenedów czytał na czarném tle przyszłości krwawe wyroki naszych losów, on widział tych wężów, co spokojnie przyglądać się mieli walce bez udziału w niéj i czekać, aż zcichnie pieśń zapału, aż krew oziębnie znowu i przez usta wenedyjskich harfiarzy rzuca im przekleństwo i wyrocznię. Słuchajmy:

CHÓR.

O święta ziemio polska! arko ludu!
Jak zajrzeć tylko myślą — krew się lała.
W przeszłości słychać dźwięk téj harfy cudu,
Co wężom dała łzy i serca dała.
Słuchajcież wy, gdy ognie zaczną buchać,
Jeżeli harfy jęk przyleci z dala —
Będziecież wy jak węże stać i słuchać —
Będziecież wy jak morska czekać fala —
Aż zcichnie pieśń i krew oziębnie znowu,
I znów się staną z was pełznące węże?
Aż rzucą was do mogilnego rowu,
Gdzie z zimnych jak wy serc hańba się lęże.
Już czas wam wstać!
Już czas wam wstać i bić i truć węże.

(Ciąg d. nast.)

## ROZMAITOŚCI.

— Dla braku miejsca nie mieliśmy dotąd sposobności wspomnieć o jednéj z niedawno wyszłych książek p. t. **„Pobyt w Syberyi“** przez Rafała Błońskiego. Każdy szczegół o tym kraju jest dla nas ciekawym i ważnym, żaden bowiem kraj oprócz Polski nie obchodzi nas tyle, co Syberyja. Tam cząstka Polski, tam ślady naszych myśli, naszych cierpień, naszéj pracy. Historyk pisząc dzieje nasze porozbiorowe, nie może pominąć téj smutnéj kolonii. A długi czas bardzo mało wiedzieliśmy o tym kraju. Pojedyncze wspominki i pamiętniki traktując rzecz więcéj subjektywnie, dając nam stan duszy piszącego, nie dawały wyobrażenia o kraju. Dopiero Rufin Piotrowski w trzech tomach pamiętników swoich odsłonił nam tę ziemię zakrytą dotąd śniegowym całunem — to téż pamiętniki jego z niesłychaném czytano zajęciem. Ale Piotrowski krótki czas bawił na Syberyi, więc jego opisy jakkolwiek wierne, pełne trafnych spostrzeżeń i uwag, są tu i owdzie niedokładne. — Niby uzupełnienie tych pamiętników, można uważać pamiętnik Rafała Błońskiego, pisany treściwie i jasno. Są tam szczegóły anegdotyczne nadzwyczaj zajmujące, obrazki ciekawe — jest wzmianka o ucieczce Piotrowskiego i o jéj następstwach — zgoła wszystko to, co autor przez 12 lat swego pobytu uważał godnego uwagi, streścił w swoim pamiętniku.

— W poniedziałek 11go t. m. pierwszy odczyt na rzecz akad. tow. wzaj. pomocy — Dr. Majer: „O temperamentach“.

W piątek 15go t. m. Józefa Szujskiego: „Odrodzenie Polski w drugiéj połowie XIII. i pierwszéj XIV. wieku.“

Początek wykładów o godzinie 6téj.



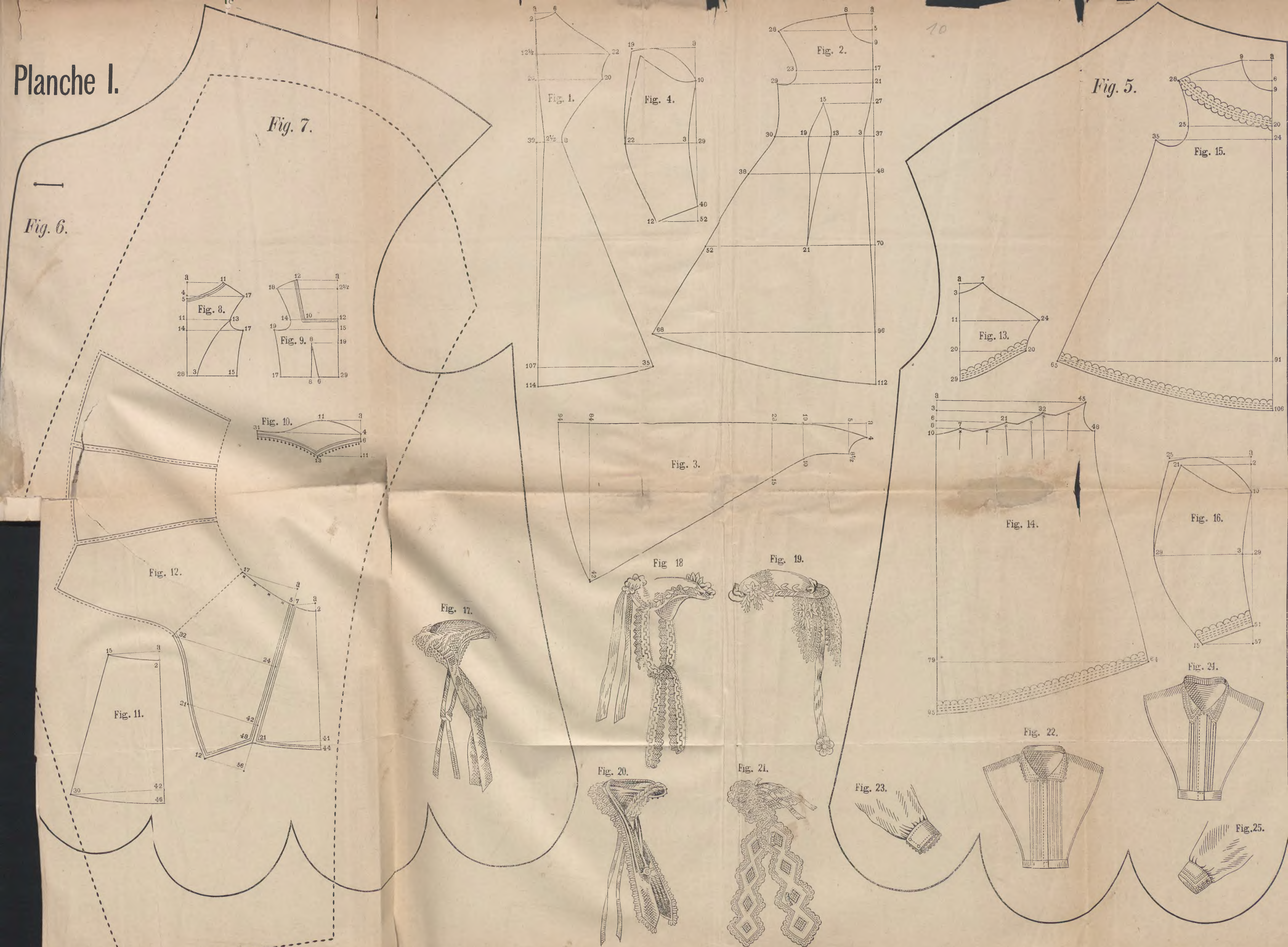
Od zarządu sprawunkowego „Kaliny“.

***F. M.*** Polskiego wydania niema. — ***R.*** w ***N.*** Posłane równocześnie z tym numerem. — ***Li.*** Zakazane w Austryi. — ***St. O.*** Niema w żadnym sklepie w Krakowie — czy zapisać? ale będzie o wiele drożéj.

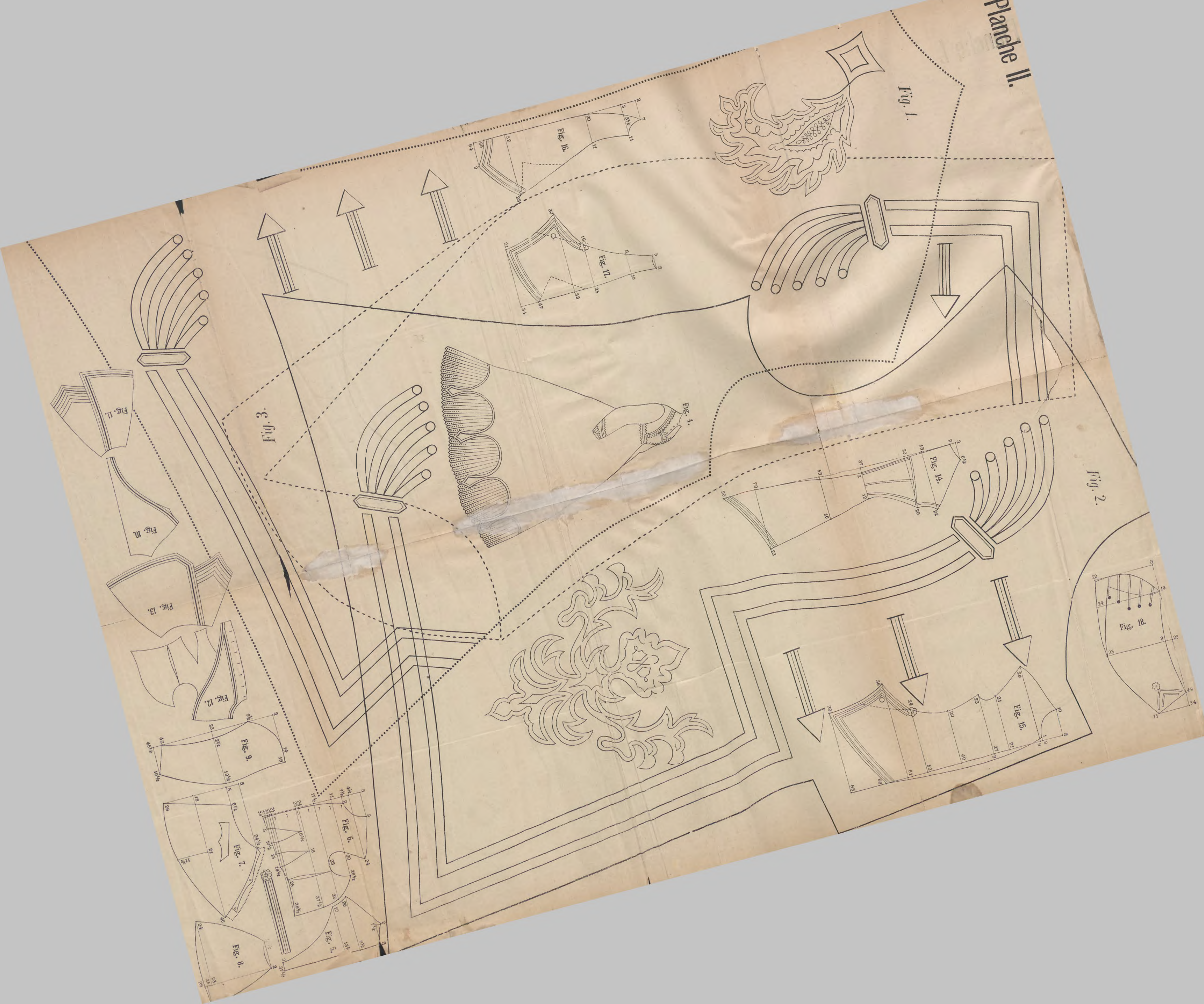
Nakładca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.

# Planche I.


Fig. 1.
Fig. 2.
Fig. 3.
Fig. 4.
Fig. 5.
Fig. 6.
Fig. 7.
Fig. 8.
Fig. 9.
Fig. 10.
Fig. 11.
Fig. 12.
Fig. 13.
Fig. 14.
Fig. 15.
Fig. 16.
Fig. 17.
Fig 18
Fig. 19.
Fig. 20.
Fig. 21.
Fig. 22.
Fig. 23.
Fig. 24.
Fig. 25.

# Planche II.


Fig. 1.
Fig. 2.
Fig. 3.
Fig. 4.
Fig. 5.
Fig. 6.
Fig. 7.
Fig. 8.
Fig. 9.
Fig. 10.
Fig. 11.
Fig. 12.
Fig. 13.
Fig. 14.
Fig. 15.
Fig. 16.
Fig. 17.
Fig. 18.